

BŁUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Z I M A.

— Tyś mi nie straszna o nocy!
Chociaż mroki rozsiała
Tak gęste, jak byś na zawsze
Nad światem panować miała.

Bo wiem, że musisz nie długo
Przed słońcem uciec w otchłanie,
A dla tych co się obudzą
Zabłyśnie nowe świtanie.

Ty mi nie zmroisz, o zimo!
Serdecznych moich nadziei —
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

Pomimo groźnej twej władzy
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znow świeże kwiaty wyrosną.
(z POEZJI El...yego.)

TADEUSZ KORZON.

(Dokończenie.)

Do książki jubileuszowej w r. 1879 napisał Korzon wyborny obraz życia dziejowego Rzymu za Cezarów, przedrukowany na początku *Powieści rzymskich* J. I. Kraszewskiego w wydaniu „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej”. Ze studyów historyzoficznych powstała, umieszczona około r. 1880 w *Tygodniku literackim* lwowskim, rozprawa o *Vico*, a w *Kwartalniku historycznym* z roku zeszłego *S'aszic jako historyzof ludzkości*—rzecz o niezmiernie dziś rzadkim druku *Ród ludzki*, niszczonej zaraz po wyjściu przez samego autora. Do *Kraju* dał historyk opracowujący dzieje powszechne w roku 1887 zarys działalności *Leopolda von Ranke*, a autora *Wewnętrznych dziejów Polski* sam już cień zmarłego X. Waleryana Kalinki wyzywał do oceny jego historyografii, zawartej w *Sejmie i Latach Ostatnich*; zwięzłą charakterystykę, w jednostronności swej popędliwego a nurzającego się w doktrynie historyka, wysłał z pod pióra Korzona, podał *Kraj* w roku 1887. Prace Korzona i Władysława Smoleńskiego pokazują rzeczywistość, nie reklamową, wartość Kalinki.—Liczne recenzje dzieł, przeważnie historycznych, pomieścił Korzon różnemi czasami w *Kv. hist.*, w *Bibl. Warsz.*, *Ateneum*, *Tyg. ilustrowanym* i w *Kłosach*. W tym summaryszo jego prac niepodobna pominąć i rozprawy, zamieszczonej pierwsiastkowo w „Roczniku pedagogicznym”: *O nauczaniu historii etc.* (Warszawa, 1882). Jest to grót wymierzony przeciwko reformie wykładu wiedzy historycznej w szkołach galicyjskich, od r. 1880 obmyślonej przez miejscowe władze i stowarzyszenia. Autor stawia oryginalnie nieoryginalną, bo na zachodzie często teraz powtarzaną, a u nas przez p. Stanisława Smolkę do pewnego stopnia na własny rachunek przyjmowaną, tezę, że historią jest tylko nauką o cywilizacji — trochę zawiele, i bardzo zamało! Sama metoda i kierunki badania, istota gromadzonych faktów i treść wyciąganych wniosków w *Dziejach wewnętrznych* dowodzą, że historia życia człowieka zbiorowego w dawnych wiekach jest czemś więcej, niż prostą przedmiotową nauką o cywilizacji. Niezależnie od tezy, sama krytyka postulatów kommissyji Towarzystwa Pedagogicznego odznacza się bystrością spostrzeżeń i ścisłością rozumowań.

Capo d'opera Tadeusza Korzona są jego *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794)*—*badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego* (*).

Przez to dzieło swoje stanął Korzon w rzędzie badaczy źródłowych; bez jego przewodnictwa ryzykownie byłoby już teraz zapuszczać się w ostatnie trzydziestolecie dziejów Rzeczypospolitej. Historia pragmatyczna pokazuje ruch i wypadkowe siły; dzieło Korzona pozwala nam widzieć same te siły i środki, którymi ruch się dokonywał. Statystyka całego trzydziestolecia, tak społeczna, jak państwowa, stanowi główny zrab *Dziejów wewnętrznych*. Ludność, ziemia, rolnictwo, handel, przemysł, kredyt, wsie, miasta, wytwórczość i bogactwo narodowe—zajmują autora w dwóch pierwszych tomach; cały trzeci poświęcony jest finansom króla i państwa, przedstawiając wszystkie prawodawcze i administracyjne przemiany skarbowości obu kategorii w całym trzydziestoleciu. W tomie czwartym występuje Rząd Rzeczypospolitej i działalność machiny

administracyjnej, czyli organizacja i administracja państwa, rysujące się z wielką szczegółowością, a poprzedzone ogólnym poglądem na sądy i sejmy. Badania pojedynczych przedmiotów prowadzi autor metodycznie w czterech okresach: do Sejmu Delegacyjnego, do Wielkiego Sejmu, podczas jego trwania i od upadku do Konwencji Radoszyckiej. Liczba, oczywiście, przeważa w dziele, które w treści swojej jest statystyką, rozległe pojętą—jako historia w spoczynku. O niesłychanej pracowitości, o przebytych trudach, o pożądlivosti autora do ujmowania stosunków i stanów badanej przeszłości w liczby,—jeśli nie bezwarunkowo prawdziwe, to najprawdopodobniejsze, — ten tylko może mieć wyobrażenie, kto przynajmniej dwa pierwsze tomy dzieła uważnie odczytał. Korzon wydobywa i ustawia liczby, układa całe wykazy, o jakich przed nim zaledwie marzyć poczynali pragmatyczni historycy. Można by nawet nieraz dostrzedz, że zamięłowanie przedmiotu sięga ponad konieczną potrzebę. Zapewne, późniejsze odkrycia mogą wzbogacić i nawet sprostować niejedyn wynik podany w *Dziejach wewnętrznych*; ale przy dzisiejszej zasobności świadectw, przez samego autora powiększej części wykrytych, nie podobna było dać lepszej, bo dokładniejszej i wszechstronniejszej, statystyki Polski za panowania Stanisława Augusta.

Wymowę liczb uzupełnia obraz działalności naczelnych władz państwowych, oraz rządów i postępowania administracji; ale na obraz ten nie składają się już same tylko przepisy prawne, sama litera prawa, mówiąca, jak być powinno; autor stara się nam zawsze pokazać literę w życiu, przekonać nas, jak rzeczywistość było. Ztąd rozległe świadectwa, bądź zebrane z akt urzędowych, bądź też wyjęte z ust samych uczestników rozbieganych dziejów. Duch krytyczny przy tych wszystkich dochodzeniach i odbudowywaniach przeszłości stale dochowuje wiary autorowi. Jego prawdziwie dziejoparskie uzdolnienie nakazuje mu także i ludzi, którzy woła swoją na zajętych stanowiskach więcej nad innych zaważyli, uznawać za siły działające i jako takie ujmować, określać i przed oczyma czytelnika stawiać. Sam Stanisław August musiał przed wszystkimi innymi zwrócić na siebie wzrok badawczy. Charakterystyka tego człowieka w T. III, uzupełniona rysami dodatkowymi, rozrzuconymi jeszcze w innych,—nie jest tak kunsztowną, jak malowidło księdza Kalinki, ale jest owiele prawdziwszą i lepiej też tłómaczy tajemnicę dziejowego, rozwiązania. Wiekuista kokietka w męzkim ciele, mdły epikurejczyk bez silniejszego krwi napływu przez srogie przejść musiał jarzmo w dziele Korzona. Istotną wartość Tyzenhauza wyłuszczył autor z tej łupiny wielkości i cnoty, w którą go przyodziały niedostateczne badania Bartoszewicza. Poniński i cała zgraja delegacyjna oświetlona własnymi czynami. Komarzewski odarty z uroku, rzuconego przez Bartoszewicza i Kalinkę. Jacek Jezierski postawiony jako wielkość dodatnia, ale bez chwaleczej przesady. Szczęsny Potocki z pomocą własnych postępów i ujawnionych pobudek odtworzony w rzetelnej prawdzie swego charakteru; a jedyny jego rys spośród dodatni, — mniemana dobroć dla chłopów — podany w wątpliwosć. Ujemne postępkę Kollataja nie zatajone, chociaż przeświadczenie o nich więcej na ustalonej wierze, niż na zdobytych własnym trudem dowodach oparte — do czego zresztą historyk, badający jedynie tylko zasobność i żywotność społeczeństwa i państwa, ale nie opowiadający dziejów, nie był zobowiązany. Czartoryscy stosunkowo mało miejsca w dziele zajmują; ale i przed nimi trzyma autor zawsze zwierciadło prawdy, ilekroć ich ukaże. Wszędzie widać jednoznaczne panowanie tego naczelnego prawa, wedługo którego na ludzi, sprawy i rzeczy ich zapadają wyroki — najczęściej potępienie lub naganę niosące. Prawo to jest bardzo proste; można by je zawrzeć w nakazie: „Gdy działasz dla rzeczy publicznej, wiedz czego jej potrzeba, a myśl o niej tylko, nie o sobie.”

Najobszerniej wyłożył autor pojęcia i dążności umysłu i woli w Sejmie Czteroletnim i w inteligencji poza-sejmowej, oile zadania państwowe zwracały się na sposoby zasilenia skarbu; najwię-

żej przedstawił stan szkół i urzędów szkolnych. W całości swej wzięte, dzieło daje nam Polskę Stanisława Augusta, jakby w przecięciu,—odsłania jej wnętrze. Obrazową też nazwę *Wnętrza* chciał mu nadać autor po skreśleniu pierwszego tomu; później dopiero, wskutek uwag Akademii Umiejności pierwsiastkowy ten napis zmienil na obecny. Do tego, aby mogło być rzeczywiście *Wnętrzem Polski*, braknie dziełu uobrazowania tego ruchu umysłowego w społeczeństwie, który, począwszy się w Konarskim, bardzo już wybitnie wystąpił w rozprawach sejmowych i zastrzeżeniach przy podpisywaniu konstytucyji sejmu konwokacyjnego, a ostatecznie wyraził się w dualizmie, ukazującym z jednej strony kuźnicę kollałajowską, z drugiej akt Targowicy i niedorzeczne teorematy wsteczników i Targowiczów z Sejmu Grodzieńskiego. Jest to jeszcze całe morze do wypicia—ten ruch umysłowy ostatniego trzydziestolecia Rzeczypospolitej; chcąc go wyrazić przedstawić, potrzebny napisać większe może nawet dzieło od korzonowskiego. Dotychczas nie zdobyło się jeszcze nasze dziejopisarstwo, ani literackie, ani polityczne nawet na racjonalną bibliografię, któraby bogatą literaturę publicystyczną wieku uporządkowała w pewne odrębne całości i podała treść każdego objawu. Same druki już uderzają obfitością, ale mowy sejmowe są nieprzebranem źródłem żywych pojęć, przez które geniusz narodowy rwał się do lepszej przyszłości. Te dzieje naszej umysłowości od 1750—1794 wołają wielkim głosem o wyższą zdolność i benedyktyńską—co prawda pracę, aby do pokoleń dzisiejszych mogły odezwać się z wymową, zwalającą wszystkie argumentały Kalinki, Szujskiego, Bobrzyńskiego, i całego orszaku tych doktrynerów, co-to w przedzie historii tkają nitki własnych swych rozumień i wierzeń. Praca gruntowna, przedstawiająca koleje tych dziejów myśli, byłaby koniecznym dopełnieniem pięcioletniego dzieła, które nam już dał Tadeusz Korzon. Czy nie on sam najbliższym jest nowego zadania? Czy jemu samemu nie byłoby już łatwiej, niż innym, wprowadzić umysł dzisiejszy pod nowy widnokrąg?

Użyto wyżej wyrażenia „benedyktyńska praca”. Inaczej niepodobna nazwać pracy Tadeusza Korzona nad *Dziejami wewnętrznymi*. Dotarł on do archiwów przedtem nietkniętych, jak archiwum skarbowe, przypomniał światu uczonemu zapomniane zupełnie archiwum po Poniatowskich w Jablonie pod Warszawą, zawiadomił powszechność o obfitych zbiorach po Piusie Kicińskim w okolicach Chełma, roztworzył archiwum Maliszkiwiczów, a zwłaszcza księgę o Potockich; przejrzał prócz dzieł i wydawnictw peryodycznych pierwszorzędných, wiele broszur z epoki Sejmu Czteroletniego; grzebał się i zakopywał w aktach Archiwum Głównego; i z mrówczą pracowitością zebrał i w tomie III podał wykaz ofiar z lat 1788—92 i 1794 (Dodatek A). Poprawiona tabella miast, kilka budżetów, wykaz wojska z roku 1794, na równi z owym wykazem ofiar mają same przez się dla historyka wartość ważnych dokumentów. Wszystko to, co znajdujemy o skarbie króla i Rzplitej, o wojsku o Kommissyjach Porządkowych Cywilno - Wojskowych, o zasobności społeczeństwa w r. 1794 i o samych dziejach pragmatycznych tej chwili, przedstawionej z największą szczegółowością i zamięłowaniem, wszystko to stanowi już nieodwołalny nabytek dziejopisarstwa. Historyk który nie chce sam stanu ekonomicznego i administracji danej epoki badać, a chce sumiennie jej dzieje, choćby w grubszych zarysach, przedstawić, musi z dzieła Korzona korzystać.

W „Zamknięciu” wypowiedział autor pogląd swój na żywioły dziejowe, na zewnętrzne i wewnętrzne przyczyny, na siły działające w ludziach i poza nimi, na stopień żywotności przedmiotowej w stosunkach i podmiotowej w pojęciach i charakterach. Pogląd ten jest poglądem samego autora, a wypromiędające się z niego przeświadczenie o moralnem znaczeniu wielkiego wypadku streszcza w sobie myśl historyzoficzną, — słowo dziejów, które przewiały i przechuczały.

Stanisław Krzemiński.

(*) Wydanie Ak. Um. w Krakowie, w drukarni Uniw. Jag. etc; 4 tomy: T. I, r. 1882,—str. 1/2 wstęp, str. 3/496, str. 497/502 spisy; T. II r. 1883,—str. 1/379, str. 380/2 dod. do źródeł, str. 383/90 spisy i poprawki; T. III r. 1884,—str. 1/405, str. 407/54 Dodatek A str. 455/61 spisy; T. IV cz. I r. 1885.—str. 1/317, str. 319/22 spisy i poprawki; T. IV cz. II r. 1886—z dwoma planami i mapą, str. 1/600, str. 601/22 dodatek B, str. 623/67 Zamknięcie, str. I/XXXVIII skorowidz osób i władz, str. I—V spisy.

SERCE I GŁOWA.

(Dalszy ciąg.)

Mantegazza, dając książce swojej tytuł: *Głowa*, nie dość dokładnie oznaczył, co w niej przeprowadzić zamierza. Otóż jest to przedewszystkiem nauka życia, dawana młodości przez życie samo, przez bezpośrednie zetknięcie się z jego zwyczajami, codziennymi sprawami, z praktyczną stroną istnienia ludzkiego na ziemi. Tensam chłopiec, którego dziennik, prowadzony przez dziesięć miesięcy roku szkolnego, tworzył treść książki Amicisa, znajduje się teraz na wsi, między ubogim ludem rolniczym, rybackim, patrzy na jego trudy i zabiegi—widzi go w rozmaitych odsłonach dramatu życiowego, który na tej scenie prostej ukazuje może najdokładniej człowieka w jego stosunkach i przypadłościach różnych uczuć, myśli skłonności naturalnych. Chłopiec ów, delikatnego organizmu, zanadto pracował w szkole, zmęczył się więc, zachorował, potrzeba mu klimatu cieplejszego, niż w Turynie, i krewny jego matki wziął go do siebie w Neapolitańskie, do małej zacisznej wioski San Terenzo, położonej nad zatoką morską. Krewny ten, człowiek już stary, dawniej kapitan w marynarce kupieckiej, zwany w rodzinie wujem Franciszkiem, ma go zatrzymać przy sobie rok cały, aby oddychał powietrzem ciepłym i przez sąsiedztwo morza szczególnie czystym i ożywczym. Nie wolno mu tknąć książki, pióra, papieru, jednak wuj Franciszek zapewnia go, że mimo to rok nie będzie straconym. Będzie i tu uczył się i pracował, bo lenistwo bynajmniej zdrowiu nie pomaga, lecz przeciwnie szkodzi mu i psuje je, jak psuje i rozkłada wszystko; są przecież rozmaite sposoby pracy i nauki.

— „Nie będę cię uczył po łacinie ani po grecku, odzywa się na wstępie do siostrzeńca—będę mówił ci tylko o tej sztuce: jak masz iść przez świat z pożytkiem dla siebie i innych.”

Wielka, najwyższa sztuka, i rzeczywiście nie bierze się ona z książek, z mądrości książkowej, tylko że książka, książkowa mądrość i nauka, uszlachetnia umysły, a rozszerzając horyzonty myślenia, rozszerza i horyzonty życia, któremu wyznacza drogi górniejsze, ukazuje cele wyższe. Mantegazza nie przeczy temu, tylko pomija to: „zapala ogień inny” i wuj Franciszek objaśnia dalej siostrzeńca, że on sam ruszył na wyprawę życia umiejac tylko czytać i pisać, a jednak potrafił tak się rządzić, tak obracać w życiu, iż wszystko, co posiada: dom własny i majątek zebrany, zawdzięcza sobie samemu. „Kto ma parę dobrych oczów, aby widział i rozważał, co się wkoło niego dzieje, ten trzyma w ręku klucz do wiadomości dobrego i złego i może sam się uczyć, sam wychowywać.”

— „Nie mówię ci tego—dodaje—abyś pogardzał szkołą, książką, nauczycielem, ale abyś wiedział, że jest jeszcze poza tem wszystkim świat otwarty dla każdego, gdzie winniśmy zdobywać najpotrzebniejszą, najpraktyczniejszą wiedzę. Nauczyciele, nawet najlepsi, pokazują tylko drogę, którą iść trzeba, ale my sami musimy drogę tę własnymi nogami przemierzyć i cicho przystawać, aby obserwować tych innych podróżnych, którzy albo wespół z nami idą, lub spotykają się z nami, z przeciwnej strony wychodząc—aby przyjrzyć się otaczającej nas krainie i błękitom górnym, które zamykają nam widnokrąg.”

Książka Amicisa uczyła też tegosamego—uczyła życia i stosunku człowieka do ludzi—współtworzyłszy jego w wędrówce przez ten świat ziemski, który ukazuje w górze przed sobą perspektywę niezmiernych błękitów, a dokoła przestwory niezbadanej rozległości. Dawala ona wiedzę życia i człowieka przez zetknięcie z kilkudziesięciami osobistościami ludzkimi różnych stanów, wychowania, położen światowych, przecież dających w życie jedną i tąsamą drogą, więc zachodzących, zastępujących ją sobie nie rzadko—tamujących ją sobie wzajemnie i wyścigających się na niej.

Szkoła jest życiem przez mikroskop ukazaniem. Szlak jeden, dążenie w jednym kierunku, a w dalszy cel wspólny—wyniesienie, którego pożąda wyniosły, pragnie pyszny, a dla którego ludzie traktują nieraz to, co im leży zawadą na drodze — „Kamień, czy serce bliźniego...”

Traktują nieraz godność własną, uczciwość, obowiązki... otóż dla zażegnania tych zapasów o moje i twoje—o wyższe, słoneczniejsze miejsce wśród życia: dla zażegnania złych, małodusznych namiętności, które występują między ludźmi na arenie świata, na polu pracy publicznej, gdzie wśród tłumnego zbiegowiska spotykają się najróżnorodniejsze natury, krzyżują interesa, Amicis uczy szlachetnie, aby uczucie tego, który jest lepszym, przemawiało do gorszych, wywołując im z głębi wrodzone człowiekowi przymioty serca. Mantegazza nie dowierza tej metodzie. Widać, że nie ceną tak wysoko człowieka, aby go uważał za zdolnego do rządzenia się nią szczęśliwie, i chce, aby młodość, rosnąca do życia, wyrobiła w sobie ostrzegawczość, bystrość wzroku i znajomość istoty ludzkiej takiej, jaką jest ona poza pokostem cywilizacji, nauki, oglądy społecznej, czyli taką, jaką pozostaje powiększej części ogół w skłonnościach i zdolnościach swoich. Dla praktycznej nauki życia przenosi studia wychowawcze na realny grunt stosunków międzyludzkich i mówi, jako mistrz do ucznia:

— „Bez książek i tablicy do pisania nauczę cię wielu pięknych rzeczy, których sam uczyłem się w sposób podobny, a które tak mnie, jak wielu innym przyniosły pożytek, jaki możesz i ty otrzymać. Sztuki życia i myślenia niewiele nauczy szkoła. Trzeba ją nabywać samemu sobie, oglądając się dokoła, przypatrując się, jak inni myślą i żyją. Każde widowisko natury, każdy człowiek, na drodze naszej spotykany, może nam nauki takiej odrobinę jakąś udzielić; należy tylko wiedzieć, jak naturę i ludzi uczynić wymownymi w ten sposób. Najlepsza cząstka tego, co zawarte jest w książkach i słowach nauczycieli, zaczerpnięta została dla wielu z księgi natury, tej matki naszej i mistrzyni mistrzów.”

Jest to pogładowa metoda nauki życia, dobra niewątpliwie; czy tylko niezawiesznie jest stosować ją do chłopca z trzeciej klasy—do chłopca dwunastoletniego? Dziele najzupełniej przekonania tych wychowawców, którzy chcą otaczać młodzież samymi dobrami, szlachetnymi życia przykładami, niedopuszczając zetknięcia ze złem, a nawet wiedzy złego, póty, póki nie przyjdzie takie ustalenie w dobrem—ustalenie przychodzące dopiero z wiekiem pewnej już dojrzałości umysłowej, która podnosi już ponad chwilejność, giętkość, młodych drzewinek i młodych istot ludzkich. Autor każe się zwracać po wskazówki pedagogiczne do zjawisk natury; otóż powiedziałabym mu, według tego właśnie trybu postępowania, że drzewinkom młodym dają się paliki mocne, silnie w grunt white, do których przywiązuje się latorośl młoda, aby nie gięła się z wiatrem, nie krzywiła poziołmo, ale strzelała prosto w górę i w tym kierunku dobrym ustaliła się na cały czas bytu swojego na ziemi. Gdy będzie dostatecznie już mocna, w pniu swoim dość zmęźniała, aby stać o sile własnej i nie poddawać się przypadkom podmuchów, wiejących na nią ze świata, wtedy palik się usuwa—wtedy zaczyna się dla drzewiny młodej pora stania o sile własnej, pora opierania się wiatrom. Wtedy też drzewo łamie się raczej, niżeli nagina.

Wychowanie, ze swą pilnością troskliwą, aby wpływy złe nie uderzały na młodość jeszcze moralnie nieodpowiedzialną, za miękka, za słaba na opór, a co najważniejsza, nieugruntowana jeszcze w pojęciach o złem i dobrem—wychowanie takie miłosne, mądre ochronne, zawsze było i będzie uważane za najlepsze—za jedynie dobre.

Gdyby nawet nie było to uzasadnionem przez rozum, praktykowałoby się przez uczucie. Serce rodzicielskie, serce matek nie przyjęłoby tej teorii niebezpiecznej. Należy wprawdzie dziecko powoli usamawiać, powoli dawać mu możność, sposobność nawet, aby w mierze pewnej same rządziło sobą i czynami swymi, ale potrzeba niezmniejszej, aby była tuż—tuż przy niem ręka troskliwe wyciągnięta, zdolna je zatrzymać, zanim się w stronę złego nachyli. Jak ludzkość chrześci-

jańska Boga, tak dziecko młode prosi opieki czuwającej nad niem: — Nie wwódź nas na pokuszenie...

Jak są pewne choroby, które, raz przebyte, zostawiają już w organizmie ślad swego przejścia, zostawiają skłonność do podlegania im ponownego, tak dzieje się w wychowaniu z jakimś spełnionym, złym czynem, ze złamaniem jakiegoś nakazu moralnego. Dzieciństwo, młodość niedorośla, nie zdolne są do dłuższego, głębszego żalu nad winą swoją; żal, silny w pierwszej chwili, przemija prędko, i dobrze, że tak jest, bo byłby to ciężar nad siły jeszcze słabe. Zachowawczość natury tego chce, lecz z drugiej strony zachowawczość edukacyjna potrzebuje pilnie strzedz przed winą ową, aby złe nie miało tu już drzwi otwartych, bo może wejść raz drugi, trzeci, i trzeba—trzeba dla młodości, która się chwile pod powiewami życia, owego palika, dającego nawyknięcia dobre. Cała potęga wychowania jest przeciw w tem...

Autor każe się zwracać do natury po wskazówki i wuj Franciszek mówi zaraz pierwszego dnia wychowawcowi:—Henryku, patrz—no na ten ogród mój... Czerpię ja z niego wielką naukę moralności—naukę wychowywania. Spójrz na te pięć sosen, rosnących wzdłuż drogi, która od bramy ogrodowej wiedzie ku domowi, i spójrz na tę szóstą, tam oto pomiędzy trzciną, na urwisku nad morzem stojącą... Wszystkie sześć są jednego gatunku, jednego wieku, i dziesięć lat temu zasadziłem je tu wraz z innymi drzewinami i krzewinami ogrodu. Były to wtedy już czteroletnie latorośle, są więc niemal w tym samym co ty wieku; lecz patrz, jak pod względem piękności i siły te pięć przewyższyły ową szóstą, która ledwo się ponad zarośla trzcinowe wierzchołkiem wznosi...

Tajemnica nędzy owej karłowatej, źle rosnącej sosny pochodziła ztąd, że dostało jej się miejsce nieszczęśliwe: grunt lichy nieurodzajnej ziemi, z którego nie mogła czerpać soków pożywnych, i wuj Franciszek wyprowadza ztąd porównanie, analogią—z wychowywaniem istot ludzkich.

Przy jednakowych zasobach, od natury otrzymanych, niejednakowo udaje się ludziom rość w siłę i dzielność, jeżeli wychowanie niejednakowo pozwoli im się rozwijać—jeżeli nie będzie jednak karmiło ich ducha i przymiotom jego nie da pokrzepienia, nie wspomóż ich w dźwiganiu się ku górze.

Wuj Franciszek dał Henrykowi jeden jeszcze przykład siły wychowania, to jest wyraźnego już przywywu pewnych nawyknień i rozwoju organizmów odpowiednio do otaczających je warunków: przystosowania się do okoliczności. Będąc niegdyś w Laponii, smutnej krainie pobiegunowej, gdzie po długiej, ciężkiej zimie mrozów i ciemności dziewięciomiesięcznej nastaje lato, którego słońce świeci przez trzy miesiące, nie zachodząc nigdy poza horyzont, widział, jak zioła i krzewy flory tamtejszej śpieszą się, aby przebyć w tym krótkim czasie całkowity proces życia. Zakwitają, wydają owoc, który dojrzewa i przygotowuje nasienie dla przyszłości—wszystko w przeciągu trzymiesięcznego ciepła. Owies, jedyne zboże, które się tam rodzi, przybiera sobie tesame właściwości: usiłuje spełnić zadanie swoje—jakoby swój obowiązek względem ziemi, na której wyrosł.

Lecz wuj Franciszek, który zabrał ze sobą garść tego lapońskiego owsa, jest pewnym, że pod niebem włoskiem zacznie się to zwolna zmieniać. Oddziaływanie włoskiego słońca wywrze swój wpływ i z roku na rok zboże to będzie mieć powolniejszy przebieg wzrostu i hodowania ziarn, doskonalących się zato coraz i przekazujących te przymioty swoje ziarnom następnego roku, aż dojdą zwolna do możliwej w gatunku swym doskonałości—uszlachetnione przez przymioty odziedziczone i przez nawyknięcia do rozwijania się coraz pełniejszego.

— „Dobro przynosi dobro...” —mówi wuj Franciszek, biorący sobie z wielkiej księgi przyrody treść do rozmów z Henrykiem.—Umarli przekazują w ten sposób żywym zalety swoje, które były ich zdobyczą, zarobkiem ich zasługi—przekazują im następstwa czynów swych znacznych, życia ucziwie wiedzionego, i to jest błogosławieństwo tradycji—spuścizna rodowa, która w cza-

— sie zamienia się na narodową i ciągnie się przez wieki." Henryk zdaje się przecieć wujowi za młodym jeszcze, aby zrozumiał całe znaczenie tego przekazu—tego spadku pokoleń, ale zaleca mu, aby nie zapominał nigdy jego owsa lapońskiego. „Przypominaj sobie o nim w chwilach samotności—prosi siostrzeńca—przypominaj i zamyślaj się nad nim. Gdy urośniesz, gdy będziesz już miał dużą, gęstą brodę, historia tego zboża przyjdzie ci może nieraz na pamięć i przyda ci się jego nauka tak w stosunkach rodzinnych, jak w rozwiązaniu wielkich zagadnień społecznych.”

(Dazy ciąg nastąpi.)

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

Dalszy ciąg.)

Małżonek zaczął się niecierpliwie. Komuną zony, z którymi ciężko mu było walczyć drażniły go.

— A więc *vogue la galère*—nie nie robić?

— Szukać mu żony. Mężczyzna tej fortuny i rozumu, co Adaś, nazajutrz po ślubie należycie oceni swe stanowisko. A gdy zostanie ojcem, dopiero naprawdę zacznie pracować dla wielkości swej rodziny.—Dama wstała. Mąż widocznie został ujęty nadzieją ożenienia syna.

— Czy masz jakie pewne projekta, coś ułożonego? może już znalazłaś?

— Dotąd nie szukałam, lecz, aby uspokoić twoje obawy, od dziś zaczynam działać energicznie.

— Napiszesz dziesięć listów.

— Choćby dwadzieścia, aby tylko znaleźć przedmiot godny nas i Adasia. Po odebraniu dobrych wiadomości pojedę. Możemy jechać razem. Ty, mój drogi, dokonałeś rzeczy wielkiej wagi, zaokrągliłeś majątek, podwoiłeś dochody. Administrator z ciebie świetny, pan, obywatel nieskazitelny.

— A więc?—przerwał banalne pochwały, które go męczyły.

— A więc pierwszy akt skończony. Pozwól nam: mnie, i Adasiowi, odegrać drugi.

— Tym drugim?

— Świetne ożenie Adasia.

— A Julka?

— Przyjemna dziewczyna i dobra dla rozzerwania wiejskich nudów.

— A jeżeli się w niej kocha?

— Któryż z młodych paniczów nie kochał się w swych sąsiadkach? Należy to już do zwyczajów całego świata. Ileż-to romansów francuzkich zaczyna się od podobnych epizodów?

Pan Jan rad był wybuchnąć. Niezachwiany spokój i trzeźwość komunów żony drażniły go, zapanował jednak nad sobą.

— Pozwolisz zadać sobie jedno pytanie? — zaczęła po chwili żona.

— Nawet sto.

— O majątek, o wielki majątek nie idzie ci?

— Dajmy na to, że nie; lecz za zrzeczenie się wielkiego majątku musi być odpowiednie wynagrodzenie.

— Imieniem, a raczej świetnym nazwiskiem i osobą, któraby warta była naszego Adasia.

— Nazwisko przede wszystkim. Wszystkie nasze rody dźwigały się i rosły tylko kolligacjami.

— Wiem coś o tem—odpowiedziała z tem przeświadczeniem, że jako Zawilowska również podźwignęła ród swego męża.

Zrozumiał to pan Jan, chciał się uśmiechnąć, lecz przygryzł wargi i milczał.

— I dla tego że znam historią naszych wielkich rodów—mówiła dalej—zrobię w tym kierunku wszystko.

— Roześlesz na wszystkie strony listy.

— Niezawodnie, mój drogi. Będą to listy gończe za upragnionym ideałem. Trzeba go naprzód szukać, znaleźć, a wtedy dopiero starać się osiąść. Ty—dodała stanowczo—gniewasz się, wyszukując widm i strachów, które nie exystują: ja—pracuję!

Skłoniła się zimno i wyszła. Mąż jej nie zatrzymywał.

— Obraziła się—szepnął, wzruszając ramionami.—Zawilowska jest przekonana, że podźwignęła mój ród wysoko—uśmiechnął się dumnie.

Przed trzydziestu laty, gdy pan Jan był Jasiem, połączenie z domem Zawilowskich uważał za zaszczyt i szczęście dla siebie. Zawilowscy, skolligaceni z jednym z zamożnych rodów, wprowadzili go w sfery, do których dostać się było jego marzeniem młodości. Gdy był młodzieniaszkiem, myślał o tem, jak o upragnionem a niedościgłym szczęściu.

Dziś, w tej chwili, stanął w oknie: widok był rozległy. Jak okiem sięgnąć na wielkiej płaszczyźnie ciągnęły się łąny za łąnami zboża, za niemi—oazy zielonych drzew, zpoza których wyglądały białe ściany budynków gospodarskich. Na nieboskłonie ciemniał w niebieskich mgłach las.

— „Tysiące morgów ziemi otoczone wieńcem sześciu folwarków i pyszne lasy. Oto owoce trzydziestoletniej mej pracy”—pomyślał z dumą i radością. I nie dziw, że mu w oczach Zawilowscy zmaleli.

Na bitym gościńcu ukazała się amerykanka, zaprzężona parą rosłych koni. Powoził Adam, za nim siedział strzelec, trzymając broń.

— Dzielnie—szepnął pan Jan—świetnie. Powozi, jak książę Adam, strzela, jak hrabia Stefan. I gdzie jedzie? do sekretarza rady powiatowej i z nim razem do Rębowskich, wsłuchiwać się w patryotyczne wykrzykniki pana marszałka, nadskakiwać kobietom, umizgać się do dziewczyny. Gdyby miał rozbić moje projekta, zachwiać nadzieje, zniszczyć mozolnie układane plany... Nie, i jeszcze raz nie, syn mój nie jest idyotą. Jeżeli dziś jako młodzieniaszek bawi się w postępowe mrzonki, to jutro zrozumie rację i podstawy bytu... Byt, byt—powtarzał—dwa tysiące morgów w kulturze i stare lasy, jest na czem się oprzeć i czego bronić. — Zadzwoń, kazał sobie przyprowadzić wierzchowca i, wkładając rękawiczki, myślał głośno:

— Ciekawy jestem, co moja pani robi, jakie ma plany i kogo wybierze? Obraziła się; przy kolacji rozpogodzi czoło.

Pani Helena była osobą zbyt dobrze wychowaną, aby się miała obrażać na męża. Wróciwszy do swego gabinetu, siadła za stolikiem do pisania, wzięła pióro, lecz, zamiast pisać, zamyśliła się głęboko.

— Trzydzieści lat pracy nie zdołało zetrzeć szorstkości z charakteru tego człowieka. Nie wszystko wszystkim jest dane, naturę ludzką ciężko zmienić. Zato mój Adaś wrodził się we mnie i dlatego godzien jest świetnego losu. Do pracy więc!—Umazała pióro i na wyszukanej piękności papierze napisała:

„Wilczyce d. 15-go Sierpnia 188... roku. Droga Matyldo!”

Pisała szybko i wprawnie, jak osoba, której myśli płyną cicho, spokojnie, a długo, podobne do łagodnego biegu wody.

Słońce chyliło się ku zachodowi, na dziedzińcu tentent galopującego konia nie zwrócił jej uwagi, nie przerwał jej pracy. Do gabinetu wszedł mąż, usiadł na foteliku przy biurku i czekał cierpliwie. Pani Helena pisała. Na policzkach jej zakwitły rumieńce, oddychała szybko, pióro, jak wprawna machina, przesuwało się po gładkim papierze.

Skończyła, spojrzała na męża.

— Czy wolno zapytać: do kogo? — odezwał się.

— Do hrabiny Matyldy — odpowiedziała poważnie—jako do krewnej i osoby znającej ludzi, żyjącej w wielkim świecie, a kochającej mnie i Adama. Do niej więc należy się najpierwej zgłosić.

— Czy mi pozwolisz przeczytać? — spytał, siłąc się na serdeczność i słodycz.

— Proszę cię. Adaś jest również i twoim synem, tajemnic nie mam żadnych wobec męża, nawet z tak bliską krewną, jak Matyldka, i podała mu zapisany papier. Pan Jan czytał, uśmiechał się łaskawie, głową potakiwał: widocznie rad był z listu. Żona szukała na jego twarzy wrażeń wywołanych czytaniem.

— Wybornie — rzekł, składając papier. — Styl, język, potoczność myśli, układ—zadziwiające.

— Możeby ze mnie była niezła literatka — szepnęła pani Helena, skromnie spuszczać oczy.

— Tegoby jeszcze brakowało — odparł mąż. —

Wyobrażam sobie w domu stopy porozrzucanych książek i piśmideł, odwiedziny literackiej hołoty, uśmiechy szyderskie pań z naszego świata, zjadliwe krytyki postępowców, twoją rozpacz, płacz, spazmy! Zostań tylko wielką w pisaniu listów, wielką w dyplomacji naszych interesów i wielką matką...

— Grachów — dokończyła żartobliwie.

— Nie, nie chcę, aby mój syn był Grachem, Winkelrydem, Zawiszą Czarnym... Niech on będzie naszym synem, rozumie swoją rolę i dobrze należycie ją odegra. Niech wstępuje w nasze ślady. Wielkość jest nielada ciężarem.

— I udęczeniem dla matki — dodała.

Pan Jan półtórnie wziął list do ręki.

— *Ma chère*, dziwię się, jak wybornie wnuknęłaś w istotę rzeczy, jak zrozumiałaś moje intencje i pragnienia.

— Przez trzydzieści lat wspólnego pożycia mieliśmy czas zrozumieć się — nieprawdaż?

— Prawda — poświadczył i dalej, jakby sam do siebie, mówił cicho: — Ileż-to rodów, przed stu laty jeszcze mało znaczących, przez szczęśliwe małżeństwa dostało się do wysokich sfer! Nie trzeba szukać daleko: nasz sąsiad. W końcu, powiem ci prawdę, wszystkie nasze rody magnackie tylko szczęśliwymi związkami krwi stanęły na szczycie swej wielkości.

— Bez kwestyi — odpowiedziała pani Helena, wkładając list w kopertę.—A co do kochanej Matyldki, to ma ona ten jeszcze ważny dla nas przymiot, że jest wiecznym *perpetuum mobile*. Kontrakty spędza w Kijowie, resztę zimy w Warszawie, wiosnę w Paryżu: Kijów, Warszawa i Paryż—można coś znaleźć. My tymczasem poszukamy w biednej naszej Galilei.

— Nie jest ona znowu tak biedną i pozbawioną tego właśnie, czego pragniemy. Nazwisk tu nie brak, niema tylko gotówki. I gdyby Adaś umiał się wziąć... Ale cóż? my pracujemy dla niego, gdy tymczasem on—u sekretarza rady powiatowej! Wziął go do Rębowskich, lub poszli szukać słomek dla Julci, za którymi dziewczyna przepada. I ja je lubię, lecz cóż?—leśniczych mam niedołęgów i gapiów, a pan syn, gdyby chociaż raz pamiętał o ojcu! — machnął niechętnie ręką; był smakoszem i lubiał dzikie ptactwo.

— Taka kolej rzeczy na świecie—zdecydowała pani Helena. — Dzieci zawsze mniej pamiętają o rodzicach; Adaś jednak, mimo, że woli pochwalić się dobrem polowaniem przed Julcią, niż przed ojcem, jest dobrym synem, a przynajmniej, że i człowiek z nieco prawy—cichy, spokojny....

— Wolałbym — przerwał pan Jan—żeby był głośnym i niespokojnym. Gdyby był z niego troszkę hulaka, w miarę graczy i lampart, nie stroniłby od naszej młodzieży i przedziewy się z nią zżył. Sekretarz rady powiatowej nie wystarczałby mu, ani „butowy“ patryotyzm Rębowskiego i jego kobiet.

— Masz przynajmniej pewność, że majątku nie straci.

— Nie wielka to zasługa. Żaden jeszcze z naszej rodziny majątku nie stracił, a wszyscy go powiększają!

— Dobrze, że i nasz Adaś nie będzie wyjątkiem.

— Ma w tobie świetnego adwokata.

— Matkę raczej, która zna swe dziecko.

— Z matką, przynajmniej, ciężka walka.

— Nie walczy zatem — wygłosiła pani Helena poważnie i spokojnie, układając papiery na biurku.

Chwilę milczenia przerwał głos dzwonka. Wszedł służący w granatowej liberyi z wielkimi herbowymi guzikami.

— Na pocztę, konnym, w tej chwili—zaraz—
dała rozkaz.

— Nieustająca gorączka pocztowa — szepnął
pan Jan, lecz tak cicho, że żona nie słyszała.

— Idę do ogrodu — zwróciła się do męża —
pójdiesz ze mną? Róże zaczynają znowu kwit-
nąć.

— Gdybym mógł!... wyjeżdżam bryczką do
Klonowa. Coś się tam niedobrego dzieje, ekonom,
mówią mi, zaczyna pić. Brońmy się i walczmy;
inaczej nas zjedzą. Porządek, ład, rygor, praca...

Pani Helena zniknęła za portyera. Pan Jan wy-
prostował się i spoważniał, nozdrza rozwarł, brwi
ściągnął.—Tak, powtórzył, rygor, posłuszeństwo
władzy, to nasza potęga...—I ten szlachetka de-
klamujący, destrukcyjny, śmie mi wszystko za-
bierać przed nosa, izolować—mnie! pozbawiać
wpływu i znaczenia! Śmiałym się z powiatow-
ych wpływów i z powiatowych godności, gdyby
nie moje stronnictwo, które nie ceni ludzi bez
znaczenia i panowania. Moralny rząd musi mieć
faktycznych i posłusznych rządzców; tylko swoich
ludzi pcha, broni, walczy o nich... Lecz trzeba
być dla nich czemś,—również pomagać im i wal-
czyć o nich i dla nich. Trzeba! lecz cóż? szlach-
cie szeroką deklamacją i gadulstwem, usługow-
ością i ofiarnością trzyma głupców w szachu. Ja
nie mam czasu i ochoty być na usługach szlach-
ty... Zobaczymy, jak to dalej pójdzie—zamyślił
się. — Możeby zacząć od kompromissu?... Może
to i nieźle, że tam Adaś bywa. Bo nie przy-
puszczam, aby chłopak był tak ograniczony...
Nie, nie, matki znają swych synów, a raczej ich
odgadują.

II.

W przedmiejskim dworku powiatowego mia-
steczka, w saloniku o woskowanej podłodze i fi-
rankach, na otomance leżał Adam. Właściciel mie-
szkania, a sekretarz rady powiatowej, chodził mia-
rowym krokiem po pokoju.

— I znowu przeprawa z ojcem, jak zwykle,
i uwalniająca mnie z opalów matka— mówił mło-
dzień, wyciągając się na otomance.

— Powtarza się to peryodycznie, jak deszcz,
pogoda i burze...

— Dziś nie było burzy: matka przyszła w po-
rę. Ale mnie to męczy. Wyobraź sobie: każą mi
pracować nad tem, aby mój syn w imię polityki
rodowej mógł się ożenić z córką hrabianki Ste-
fanii. Hrabianka Stefania ma dziś lat trzyna-
ście.

— A ciebie z kim chcą ożenić? — spytał sekre-
tarz, patrząc mu bystro w oczy.

— Dotąd to jeszcze ich tajemnica. Nie wiem
nawet, czy przyszło do porozumienia między ro-
dzicami.

— Jednej się rzeczy w tobie dziwię — rzekł
sekretarz, stając przed Adamem.

— Tyle się już nadziwił! Szczególna, że jeszcze
jedno zdziwienie przybyło.

— Dziwię się twej abnegacyi. Dlaczego ty nie
masz sił i energii wyemancypować się zpod bez-
pośredniej opieki ojca?

— A to jakim sposobem?

— Osiąść w Klonowie. Majątek ładny, ziemia
wyborna, dwór w dobrym stanie. Przed paru la-
ty jakie tam świetne zabawy stary Kisielewski
wyprawiał!

— I cóż dalej? — spytał Adam.

— Zagospodarować się, uczuć się panem u sie-
bie: a wtedy i ojciec będzie cię traktował, jak
obywatel obywatela, sąsiad sąsiada.

— A potem? — spytał Adam z zimną krwią.

— Potem? Ty się pytasz jeszcze? Obejrż się
tylko dokoła, co tu do zrobienia? — Mówiąc to,
podniósł ręce, niebieskie jego oczy nabrały blasku.
Adam zsunął nogi z otomanki, usiadł, pochylił
głowę i odpowiedział spokojnie:

— Ależ, mój drogi, ja nie posiadam, ani swia-
domości w tym kierunku, ani namiętności. Nie
rozumiem dlaczego, gdy o tem mówisz, czy twoje
nabierają blasku, twarz się ożywia.

Sekretarz smutnie potrząsnął głową.

— Żal mi cię serdecznie; jesteś pozbawiony je-
dnej wielkiej rozkoszy: miłości swego kraju.
Czemże potrafisz zastąpić uczucie, które sprowa-
dza udręczenia, lecz i szlachetne rozkosze? Nie
pojmuję, jak można myśleć i pragnąć, będąc wy-
zutym z tego uczucia? Jak można żyć i obcować
z ludźmi, bez tego uczucia, które kraj czyni naszą
moralną własnością, a ludzi—naszymi braćmi; za
czyny ich rumienimy się, lub jesteśmy niemi du-
mni. Ty z tego wszystkiego jesteś obdarty tak
nielitościwie.

— Być może—odparł Adam z uśmiechem—lecz
mi zawsze jeszcze coś zostaje: ambicya, dobre
instynkta, miłość rodziny i—i ludzkości.

— Daj pokój, mój drogi, to wygląda, jak gdy-
byś miłość swą przenosił na Patagończyków. Na-
wet i ambicyi nie możesz mieć w wyższym tego
słowa znaczeniu. Zaledwie ci ona wystarczy na
powiększenie twego majątku, uzyskanie tytułu i
ożenięcie syna z córką hrabianki Stefanii.

— A gdybym chciał zostać namiestnikiem?

— Tosamo, jak gdybyś zapragnął dostać order
Żelaznej Korony.

— Nie znasz się na tem — rzekł poważnie
Adam — order Żelaznej Korony—to dla mnie za-
mało.

— Przepraszam cię za lekceważenie, nie z winy
mojej, lecz z nieświadomości.

Obydwa jednocześnie się rozśmiali.

— Powiedz, mój Adamie, kto ty jesteś?

— A ty, Tadeuszu, kto jesteś?

— Ja jestem człowiekiem wykołejonym, emi-
grantem i sekretarzem rady powiatowej.

— A ja — rzekł wesoło Adam — synem swego
ojca, w przyszłości dziedzicem paru tysięcy mor-
gów, synem, któremu każą robić karierę, naprzód
przez świetny ożenek, a potem karierę krajowo-
dworsko-ministryalną.

— A ty cóż na to?

— A ja po zdaniu prawnych egzaminów i od-
poczynku zaczynam się trochę nudzić i, nudząc, po-
lować.

— Nie masz żadnych namiętności?

— Przepraszam: za białą spódniczką, czerwoną
spódniczką, za wszelakich kolorów spódniczkami.
I jeżeli się zgadzam na projekt ojca: rozpoczęcia
karyery ministryalnej we Lwowie, to tylko ze
względu na tę jedyną namiętność.

— Sztuka cię nie zajmuje?

— Mówi się o tem w salonach i troszkę bla-
guje, udając znawcę. Niekiedy wypada prze-
rzucić „Revue des deux mondes“, aby być *au cou-
rant* belletrystyki francuzkiej przeczytać „Zbrodnia
miłości“ Bourgeta, podrzęcać nad Claretiem i
Cherbuliezem... I cóż mam więcej robić? Powiedz:
co ja mam robić?

— A niech cię milion sto tysięcy!—zawołał Ta-
deusz. — I ty, dziedzic wielkiej fortuny, dobrego
nazwiska, doktor praw, młody, zdrowy, silny, opu-
stasz się: co masz robić w kraju tak biednym, opu-
szczonym i zaniedbanym?! Daj mi twoje niezale-
żność, czas i piątą część twych przypuszczalnych
dochodów, a zobaczysz, co jest do zrobienia. —
Ogień wystąpiły na twarz sekretarza.

— Czy chcesz, abym znosił karczmy, a stawił
szkoły i szpitale? A może chcesz, abym był wszyst-
kiem, jak marszałek, agitował, jak Gryziecki, bu-
dował drogi, rozczulał się nad dolą naszych kmio-
tów, którzy, mówiąc nawiasem, przy urodzaju zie-
mniaków szczęśliwsi są od nas?

— Dosyć, dosyć — przerwał gorączkowo Ta-
deusz.—Nie rozumiemy się. Jedziesz na słomki:
zabierz mnie z sobą, a przed wieczorem odstaw
do marszałka.

— Ciebie oddam marszałkowi, a upolowane
słomki pannie Julii.

— Jeżeli się nam polowanie uda.

— W porębie czeka leśniczy i dwóch leśnych,
świetnych strzelców. A może natrafę na słomki
ciągnące do lasu po grzyby. Trzeba korzystać
z uśmiechów losu, jak mówi mój ojciec.

— Jedźmy — przerwał Tadeusz.

— Papierów do podpisu dla marszałka masz
dużo—spytał Adam.

— Sporą paczkę.

— Wybornie, marszałek cięży mi swym ogromem
pracy i poświęcenia, specjalnie marszałkowskiego.
Wolę jego kobiety.

Tadeusz zarzucił torbę, zdjął wiszącą dubel-
tówkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

(Dalszy ciąg).

D. 3 Lutego zrana. Poeta obiecał nam się dziś
na obiad—nie idzie mi o to, jakie będzie menu, lecz
o to, co mu mam powiedzieć, bo przecież coś mówić
muszę. Obiad składa się z samych polskich pot-
raw: Barszcz, flaki, ozór na szaro, zajac, kuropa-
twy, jarzyny, owoce, sery, desery i czarna kawa—
są to podobno najulubieńsze potrawy wielkie-
go poety. Oprócz niego będziemy mieli wiele
innych znakomitości. Boże, jakże mi serce bi-
je ze strachu! Gdybym mogła zachorować na ja-
kąś małożnaczącą chorobę, np. na ból głowy lub
zębów; ale gdzie tam: nigdy podobno tak zdrową
nie byłam, jak dzisiaj.

Godzina 11 wieczorem. O 5-tej otworzyły się
drzwi i wszedł uśmiechniony poeta; ubiór jego
zawsze jednaki: długi surdut czarny, zapięty do
góry. Wstałam, nie wiedząc co mu mam powie-
dzieć: wszystko mi się wydawało niestosownem,
malutkiem i głupiem. Na szczęście tuż obok mnie
znalazł się mój poczciwy mąż i tym razem w zupeł-
ności mnie zastąpił; jednocześnie też weszli inni
zaproszeni goście i podano wazę. Barszcz był
wyborny, wszyscy go sobie przybierali. Gości-
ność moja jakotako przynajmniej wynagradzała
wyjątkową nieśmiałość i upoczywe milczenie.

Pan Adam,—jak powiadają bliżej go znający—
był w złotym humorze; dziękował mi co chwila,
że tak dobrze wiedziałam co lubi, i solen-
nie obiecał każdego Czwartku nas nawiedzać.
Po obiedzie i czarnej kawie rozmowa była nad-
zwyczaj interesującą. Ja szczególnie słuchałam
z wielkiem zajęciem tego, co mówił Mickiewicz;
siedziałam nieruchoma, wstrzymując nieledwie
swoją oddech, aby jednego nie utracić słowa, a cho-
ciaż niewszystko rozumiałam, zdawało mi się, że
słyszę jakąś nadziemską istotę proroczym duchem
natchnioną. Trudno uczynić sobie dokładne poję-
cie o wyrazie twarzy tego wielkiego człowieka,
bo jest tak wrażliwą i ruchomą, że co chwila, jak-
gdyby w lustrze, inne na niej odbijają się uczucia.
Widąc tam i gniew, i wzgardę, i prostotę i pokorę,
natchnienie, zachwyt, ale czasami też obojętność
i zmęczenie. Wzrost średni, budowa dość silna,
włosy bujne szpakowate, w tył zaczesane, czoło
szerokie niezbyt wysokie, otwarte, ale już po-
marszczone, nos wydatny; wejrzenie długie, głę-
bokie, wymowne. Kiedy z kim rozmawia, z wielką
uwagą słucha odpowiedzi, i chwilami poważne ry-
sy jego tak się rozpromieniają, jakgdyby iskrą
elektryczną rozświetlone. Uśmiech rzadki, smęt-
ny, a w ustach malują się przeżyte cierpienia
i boleści. Choć mnie zmęczył bardzo dzień dzisiej-
szy, w tej chwili jednak szczęśliwą się czuję, że
w domu własnym tyle znakomitości podejmowa-
łam.

D. 6 Lutego. Dzienniki zapowiedziały wizytę
obojsza cesarstwa w Saint-Denis. Będą tłumy
ciekawych. Pojechaliśmy i my na widowisko, aby
się przypatrzeć nowożeńcom. On ubrany był
w czarny długi tużurek, zapięty do góry; ona
w skromnej tualecie brązowej jedwabnej. Byli
bez eskorty, jak zwyczajni śmiertelnicy. Napoleon
III, niemłody już, ale w sile wieku, przystojny,
z wejrzeniem rozumem; jedno tylko w nim razi już
na pierwszy rzut oka: za długi stan w stosunku do
całej postaci. „Comtesse de Théba“ prześliczna,
ze złotym odcieniem włosów, a tak spokojna i pe-
wna siebie, jakgdyby się już cesarżową urodziła.

Zwiedzali szczegółowo groby królów, wpośród których braknie Ludwika Filipa. On spoglądał na grobowce z powagą; myślał może o tem, że śmierć wszystko kończy: i nędzę i wspaniałość, i klęski i szczęście, które jemu samemu nie poskapiło swego uśmiechu; może, myśląc o śmierci, nie umiał wynaleźć miejsca dla własnego grobowca; a może stawało mu bezwiednie przed oczyma widmo wygnania i samotnego grobu na obcej ziemi. Bóg wie, co mu tam sądzono: wszak i Napoleon I-szy nie myślał umierać na wygnaniu.

D. 7 Lutego. Byłam niedawno w teatrze na ostatnim przedstawieniu p. Rachel; dawali *Fedre* Racine'a. Cóż to za niepospolita artystka! Patrząc na nią łatwo zapomnieć, że się jest w teatrze. Człowiek-by przysiągł nieledwie, że jest świadkiem najstraszniejszej rzeczywistości. Pod wrażeniem tej gry, jestem jeszcze dzisiaj. Publiczność zęgnęła wielką gwiazdę z takim zapalem, że ja, nieprzyzwyczajona do takich demonstracji, oglądałam się z trwogą: czy nam ogień lub zawalenie się sufitu nie grozi.

Kuzynek mój Kleczkowski, bardzo dla nas uprzejmy, przesyła mi codziennie przez małego Chińczyka, który się nazywa Amoi, bukiety i cukierki; wczoraj dostałam przesłiczną książkę i marsz pogrzebowy Szopena, jedyny utwór, który do duszy p. Michała przemawia. Przed parą dniami odwiedziłam go z mężem. Przyjął nas i zabawił swoją łamaną francuzczyzną sekretarz jego w narodowym stroju, podczas kiedy gospodarz się ubierał. Wszystko, co zapełnia appartement, jest chińskie, przywiezione z Szanghaju, począwszy od służby i najdrobniejszych sprzętów, aż do faworyta psa, równie brzydkiego, jak ludzie. W rogach salonu stoją cztery, naturalnej wielkości, potworne bóstwa, arcydzieło sztuki, nie wiem z jakiego materiału; niby-to marmur, z silniejszym jednak połyskiem, ciemno-żółty, wygląda na coś starożytnego. Stołiki założone albumami, a w nich malowidła, po większej części niezdarne. Mnóstwo drobiazgów ze słonowej kości. Oprócz tego, specjalnie dla dam do oglądania, przesłiczne batysty z włókien ananasowych, zahaftowane w misterne desenie przez kobiety, a mające służyć na ubranka letnie. Mały Chińczyk Amoi jest „własnością“ Michała. Rodzice jego, obdarzeni licznem potomstwem, nie mogąc przychówku swego wyżywić, skazali biednego chłopczykę na utopienie, i właśnie w chwili, kiedy ojciec miał dopełnić swego zamiaru, przechodził Michał i za 120 franków zakupił chłopca, ochrzcił, wychował i następnie do usług swoich obrócił. Pomimo całej uprzejmości i elegancji gospodarza, panuje tu na każdym kroku taki chłód, taka etykieta, że się z przyjemnością do chińskie muzeum opuszcza. Pan Michał, biedak, tak uwierzył w swoją wielkość, że mu się to w głowie już pomieścić nie zdoła, jak można żyć, nie będąc arystokratą a przynajmniej ambasadorem, posłem, konsulem, a choćby tylko tłumaczem, jakim on sam był bardzo jeszcze niedawno. Otoczenie chińskie tak go przejęło, że dziwi się nawet naszemu europejskiemu sposobowi życia. Kuzynek mojego męża, który tu przyjechał na naukę—ale nauczył się dotychczas robienia długów, a jedyne studia z zamiłowaniem odbywał wcale nie w szkole—wziął p. Michał w zupełną jakby entreprzyzę, obwozi go po Czartoryskich i przeróżnych domach arystokratycznych francuzkich; ale ze mną tak mu to łatwo nie pójdzie. Wszystkie komplementa objijają się o moje uszy, jak o skałę—„Czy się to godzi—mówi do męża—abyś taki skarb trzymał w takim ukryciu? Wszak żona twoja mogłaby być ozdobą najpiękniejszego salonu, świecić jak gwiazda. Jakaż to chluba dla ciebie i waszego kraju!“—Pocziwy mój mąż zostawia mi całą swobodę, gdybym wejść chciała w świat mody, puchy i próżności; ale ja wolę być choćby skromną gwiazdką nad jego sercem, niż słońcem salonów. Świat mi nic nie da, oprócz znudzenia i przepech, a ja pragnę spokoju serca, pragnę uczucia mego drogiego męża i równie mi ich do życia potrzeba, jak powietrza i pożywienia. Jedna myśl tylko smutkiem i tęsknotą mnie przejmuję...

Kiedy pomyślę o szczęściu innych, zdaje mi się, że-bym ze szczęścia umarła. Codziennie rano chodzę do kościoła a w modlitwie, tak tylko nie chcąc, przypominam Bogu swoje najgorętsze pra-

gnienie, bo mąż mój mówi, że nigdy nie trzeba zbyt często o nic Pana Boga prosić, ale wszystko jego świętej woli zostawić. Jakżebym chciała wychować syna, któryby był chlubą moją i krajem! Gdyby nam Bóg dał syna, możeby i mąż mój polubił własny kącik w ojezystym kraju i przestałby się lubować w tem cygańskim życiu bez jutra, dachu i jakiegokolwiek celu stałego; a ojciec mój drogi jakżeby się ucieszył, gdyby nas ujrzał spokojnie siedzących na wsi i spełniających swe ludzkie i obywatelskie obowiązki!

D. 8 Lutego. Jedziemy na herbatę do Mickiewiczów. Nowe przechodzę wzruszenia. Gdyby on chciał na mnie nie patrzeć i nie przemawiać do mnie wcale! O godzinie 7-jej byliśmy już na miejscu. Przyjęła nas pani domu, siedząc na kanapie, i mając przy sobie dwoje dzieci. W pokoju było jeszcze dwóch panów, jak się później dowiedziałam, dwóch uczniów „mistrza.“ Z pokoju poety buchały kłęby dymu. Przez niedomknięte drzwi ujrzałam go siedzącego z fajką na długim cybuchu. Po chwili wysypał się cały rój mężczyzn, a wśród nich kilku naszych znajomych. Poeta zbliżył się do mnie i powiedział, że mu się tak Czwartek uśmiecha, jak małemu żakowi obiecana kukielka. Nie wiem co odpowiedziałam—zapewne nic mądrego, bo mi zaczęło w uszach dzwonić, w oczach mi się ciemno zrobiło. Na szczęście znalazł się tuż obok mnie mój mąż i frazeologią moją wyciągnął z wąwozu.

Poeta, jakgdyby natchniony, wypowiadał głębokie, świętym ogniem wiary przejęte swe myśli. Wszyscy słuchaliśmy go z natężoną uwagą. Jeszcze rozmowa nie była zesza z toru niezwykłej powagi, kiedy ją przerwał głos pani Adamowej:

—„Mężu, nie masz tam co drobnych?... to daj Elizie, bo będzie bułek zamało.“ Spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem, poeta zaś, uśmiechnąwszy się z odcieniem smutku, podał małżonce portmonetkę. Dziś trochę lepiej przyjrzałam się poecie. Nikt nie zdoła opisać wyrazu tej twarzy, kiedy ją serdeczna uprzejmość rozpromieni. Wszystko się na niej maluje: szczerokość, dobroć, rzewność; ale przez wszystko prześwieca siła i rozum. W szlachetnych tych rysach wymowę duszy zawsze odczytać można. Nie grając podobno na żadnym instrumencie, jest Mickiewicz tak muzykalnym, że sam muzykę do wierszy swoich podkłada. Jedną z takich arii „Słowiczku mój,“ śpiewała dziś panna Dajbel, a ja jej akkompaniowałam. Pod koniec wieczoru czułam się jakoś swobodniejszą; parę razy odpowiedziałam nawet poecie i zdaje mi się, że dość już składnie.

Poznałam nareszcie tutejszą operę włoską. Dawano *Otella*. Śpiewała panna Cruvelli i p. Roger. P. Cruvelli, niezadowolona z publiczności, chciała ją ukarać, wypuszczając ostatni duet z pierwszego aktu. Myślano, że się to uda; tymczasem, kiedy rozpoczęto akt drugi i ukazał się Otello siedzący na skale, podniósł się taki gwałt w krzesłach, że o mało wystraszonego Rogera nie zasypano na śmierć lornetami, pomarańczami, wachlarzami—słowem, co kto miał w rękę, rzucał na scenę, żądając dokończenia pierwszego aktu. Panna Cruvelli nie chciała ustąpić i w jej imieniu ukazał się reżysser, — prosząc o pobłażanie dla zasłużonej artystki, która z powodu chrypki duetu śpiewać nie może. Parlamentowanie to powtarzało się trzy; proponowano zwrot pieniędzy: publiczność była nienbłaganą i zmusiła w końcu primadonnę do odśpiewania pominiętej arii. W nagrodę znowu za przelamany upór obasypano ulubioną artystkę taką masą kwiatów; że wśród leżących na scenie bukietów przejść nawet nie mogła. Widowisko skończyło się już w parę godzin po północy. A oile byłam przerażoną pierwszemi okrzykami publiczności, o tyle później z przyjemnością patrzyłam na ten zapal i życie, którego dotychczas Napoleon III-ci, w teatrach przynajmniej i cyrkach, nie zakazał.

Byłam także w tych dniach z mężem i z p. Ludwikiem na przedstawieniu wojennem w Porte Saint-Martin. Przedmiotem sztuki był *Masena*. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie krzesel. Co ja też za męki przeżyłam! Nienastający huk armat, strzelanie, broczenie we krwi, pada-

jące trupy—tak było wszystko naturalne, że co chwila podnosiłam się z miejsca, chcąc uciec od tego widoku, i gdybym się nie wstydziła męża i jego towarzysza, byłabym już po pierwszym akcie powróciła do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA Z CZECH.

Jubileusz d-ra Fr. L. Biegera. — Zasługi półwiekowe i wdzięczność narodowa. — Przemówienia. — Młody ks. Szwarzenberg. — Słowo magnackie. — Czeska Akademia Umiejętności. — Z literatury kobiet czeskich. — Pisma dla kobiet — E. Krasnohorska i M. Prochazkova. — O malarstwie polskiem rozprawa pani Renaty Tyrszowej. — Obraz Fr. Liszki. — Z teatru: Opera Dvorzaka, libretto p. Czervinkowej.

Dnia 10 Grudnia obchodzili Czesi jednozgodnie dzień urodzin przewodnika narodowego, siedmiedziesięcioletniego Franciszka Władysława Biegera. Były to chwile podniosłe, pełne świadomego siebie, wielkiego poczucia narodowego, którego Rieger był przez pół wieku, i jest, najpotężniejszym filarem. Nie dziw, że Rieger wystawiony przy każdym kroku życia i przy każdym słowie na krytykę, niezawsze należycie spokojną i oględną, był przez rozmaite sądy i poglądy prześladowany. To jednak jest rzeczą pewną, że jako chorąży swego narodu, wielce się zasłużył sprawie ogólnej, a jako człowiek, przedstawia charakter nieskazitelny i godny czci. Słusznie powiedział „Kur. Warsz.“, że „Rieger przyjął od pokolenia, które go poprzedziło, Czechy wynarodowione, wyrodzone moralnie—obce ideałom plemiennym i historycznym, oddaje zaś je przyszłemu wiekowi dumne samowiedzą swojego przeznaczenia historycznego, jędrne w poczuciu swej odrębności szczepowej—odrodzone na duchu, władnące poprawnie językiem Husa i Podjebrada, stanowiące jeden z najpotężniejszych czynników Słowiańszczyzny.“

Wobec tego zasłużonego hołdu postawić należy półwiekową, nieustającą i bezinteresowną działalność męża rzadkiego talentu i wielkiego, patryotycznego serca. Rieger pierwszy był zawsze na posterunku organizacyi narodowej od lat swoich najmłodszych, począwszy od urzędzenia pierwszych publicznych balów w czasie, gdy wstydzone się głośno mówić poczesku, aż do zrodzonej w głowie jego myśli założenia czeskiego uniwersytetu w Pradze. Mówca świetny, stał na wyłomie twierdzy narodowej i miotał strzały tam, gdzie było potrzeba ich najwięcej. Nie frazes to, jeżeli nazwę Biegera czeskim Arystydem, bo człowiek ten jest tak silnego i podniosłego ducha, że umiał w chwili potrzebującej tego dla interesów narodu poświęcić nawet swą popularność. Zasług męża tego nic nie zmniejsza. Od uznania ich usuwać się mogą tylko ludzie powodujący się osobistością.

Dlatego też w dzień siedmiedziesięcioletnich jego urodzin cały naród stanął przed nim ze schylnem czołem. Przeszło 1000 telegraficznych i piśmiennych życzeń z daleka i z bliska nadeszło od starych i młodych—od wszystkich ludzi kraj swój miłujących. Wielka ta manifestacya była tem wymowniejszą, że wyrosła jakby kielkująca roślina z ziemi. Praga trzymała tu, naturalnie, pierwszeństwo; zbiegły się w niej wszystkie objawy i wyrazy uczuć narodu. Uroczyste przedstawienie w teatrze, gdzie powitano Riegera stojący, a burzą oklasków: dalej przyjęcie licznych deputacyi na starym Ratuszu i na dworcu, wielki bankiet z uczestnictwem najpoważniejszych osób w kraju—oto hołd należny, który mu złożyli wdzięczni ziomkowie. Był to łańcuch owacyi, które przez gorący swój wyraz stały się wspaniałym aktem narodowej wdzięczności. W darze złożono od narodu 113.000 guldenów w srebrze, a Rieger, dziękując za niezliczone — jak się wyraził—objawy życzliwości, powiedział do zebranych deputacyi w zakończeniu swego przemówienia: „Powiedźcie w domu rodzinom waszym, że Rieger

zawsze był uczciwym sługą swego narodu; powiedzcie mu, że Rieger takim sługą zostanie do ostatniego tchu życia swego." W chwili tej załazy się łzami oczy niejednego z obecnych...

W Ratuszu i na bankiecie, gdzie też wysoka arystokracja z marszałkiem krajowym, ks. Lobkowicem, uczestniczyła — wiele mów świetnych wygłoszono gorąco. Wydzielający się z nich zapal, wywołał też gorące przemówienie młodego ks. Fryderyka Schwarzenberga, który umiał wzruszyć wszystkie serca zapewnieniem i przypomnieniem, że szlachta czeska znalazła już drogę do serca narodu czeskiego.

Jedynym dyssonansem wśród ogólnej harmonii był głos, którym się ozwały „Narodnie Listy.“ Nie chcę się zbyt rozszerzać nad tą sprawą, a to z przyczyny, że nie pierwszy-to i nie ostatni objaw taki, przez który strona przeciwna chce burzyć jedność uczuć wśród ogółu naszego.

Zato z dumą można powiedzieć, że lud zachował się w dniach jubileuszu z godnością odpowiednią uroczystości i jej idealowi. Lecz winienem już przejść z kolei do spraw innych. *Bluszcz* wspomniał już w wiadomościach „Z bieżącej chwili“ o założeniu Czeskiej Akademii Umiejętności, do czego inicjatywę dał zacny patryota Hlawka, ofiarując na ten cel odrazu znaczną kwotę 200.000 guldenów.

Wiadomo, że różne korporacje, zwłaszcza gminy miast czeskich, śpieszą w ślad wspaniałomyślnego ofiarodawcy i datkami swymi pragną zwiększyć ten fundusz; jest więc nadzieja, że prędzej czy później przyjdzie do skutku utworzenie akademii umiejętności w Pradze. Za wzór dla czeskiej instytucji ma służyć Akademia Krakowska, tylko że z rozszerzonym poniekąd programem. Tak, na przykład, przy czeskiej akademii istnieć ma osobna sekcja literatury pięknej (poezja i beletrystyka). Akademia czeska—to wobec pracy narodowej jedna z tych ważnych instytucji, o których nie marzyli nawet pierwsi wskrzesiciele Narodu Czeskiego. Niepokojąca pogłoska, jakoby przyszła akademia praska miała mieć charakter czesko-niemiecki, była tylko gazetarską kaczką. Jakakolwiek dwujęzykowość nie odpowiadałaby intencjom szlachetnego ofiarodawcy, co zresztą rozumie się samoprzebie.

Cheąc przedstawić czytelnikom rozwój umysłowości i prac kobiet czeskich, zwracam ich uwagę na wydawane w Pradze „Zenske Listy,“ które stale, z jednostajną troskliwością i szlachetną tendencją, redaguje zacna poetka czeska, panna Eliszka Krasnohorska, łómaczka „Pana Tadeusza.“ Jest to pismo niewielkie, wychodzi w jednym arkuszu miesięcznie, lecz należy niezawodnie do rzędu najsympatyczniejszych i najzasłużeńszych pism czeskich. Właśnie ostatni wydany numer zakończy rocznik XVI tego pisma. Ten rocznik ostatni, mimo szczupłych rozmiarów, zawiera piękną wiązkę dobrych prac literackich, wyszłych prawie wyłącznie zpod pióra niewieściego. Artykuły zamieszczone w „Zenskich Listach,“ mają charakter przeważnie pouczający, dotyczą zaś głównie sprawy Czechów i ludów słowiańskich.

Z prac zamieszczonych tam w ciągu ubiegłego roku zasługuje na uwagę rzecz p. A. Rzehakowej o miejscu urodzenia słowackiego poety Franciszka Priszerna; dalej artykuł o kobietach w Szwecji przez Beatę K., wspomnienia z Tatr słowackich przez Vileminę Sokołową i wiele innych dobrze, interesująco napisanych. Przecież nad inne szczególnie wyróżnia się rodzaj pamiętnika „Co przeżyła czeska literatka“ pióra samej redaktorki. P. Krasnohorska w sposób delikatny i umiejętny spisuje tu wspomnienia ze swojej przeszłości, do której przywiązana jest serdecznie. Dużo tam szczegółów objaśniających nam niedawną przeszłość i idealne jej strony. Prócz prac wspomnianych, zawierają „Zenske Listy“ jeszcze wiele rzeczy godnych uwagi i zasługujących na uznanie.

Na Morawach w Ołomuńcu wychodzi też pismo dla kobiet „Nasze Gospodynie,“ redagowane przez panią Miłosławę Prochazkową, odpowiadające ze wszech miar swemu celowi przez szerzenie między czytelnikami w sposób odpowiedni narodowych uczuć czeskich.

Ze wymienione pisarki czeskie nie stoją osamo-

tnione wśród swego narodu—miły tego dowód przedstawia bibliografia literackich prac kobiet czeskich, którą regularnie co miesiąc zamieszczają „Zenske Listy.“ Widzimy tam, że literatura czeska liczy już liczne grono kobiet pisarek, i że młodsze pokolenie wstąpi w ślady swoich szlachetnych przewodniczek.

Przy tej sposobności nie będzie rzeczą zbyteczną zanotować, że niemało Czeszek uczy się polsku, jak to wykazuje lista słuchaczy bezpłatnych wykładów języka polskiego, które właśnie w tym czasie odbywają się w jednej ze szkół praskich. Otóż podług tej listy uczęszcza na wykłady języka polskiego przeszło 70 kobiet. Są to przeważnie nauczycielki i przeważnie panie z inteligencji.

Ze niedarmo uczyć się Czeski polsku, wykazać to mogą najświeższe zeszyty wybornego czeskiego miesięcznika, w którym znajdujemy udatny wielce artykuł *O malarstwie polskiem* pióra pani Renaty Tyszowej. Jest to jedna z najlepszych prac tego rodzaju w piśmiennictwie czeskim. Szanowna autorka, która gruntownie zna się na sztuce i której malarstwo polskie obcem nie jest, wypowiedziała o niem sąd bardzo przychylny.

Mówiąc o sztuce, niepodobna zamilczeć o wielkim obrazie czeskiego mistrza Fr. Liszki: „Cesarz Maxymilian wobec składanych mu ofiar.“ Wiadomo, że malowidło to otrzymało honorowy medal na tegorocznej wystawie w Monachium. Jako dzieło artystycznie skończone, zasłużyło na to ze wszechmiar; lecz, niestety, w Pradze, gdzie było w tych dniach wystawionem, spotkał je okrutny wyrok jakiejś nieubłaganej siły. Zapaliło się od iskry światła elektrycznego! Dość było jednej minuty, aby główna część obrazu w taki sposób uszkodzona została, że o odnowieniu dzieła myśleć trudno. Nieszczęsny ten przypadek obudził ogólne społeczeństwo dla sympatycznego artysty. Obraz był assekurowany na 10.000 guldenów.

O Tearze Narodowym nie mogę donieść wiele nowego, chyba to, że progę jego przestąpiła excentryczna Sara Bernhardt, dając czeskiej publiczności za bardzo drogie pieniądze dwa przedstawienia pełne owacy. Naturalnie, i z tej przyczyny robiono Czechom zarzut.

Piąte roczne sprawozdanie z zarządu tego naszego „Divadla,“ wydane w tych dniach, zawiera dużo ciekawych rzeczy. Dyrektor zwraca tu uwagę publiczności, jak na scenie naszej wyrabia się powoli miejsce na czeski dramat. Szczęść Boże! Pod względem materialnym w roku przeszłym teatr nasz pozostawił niejedno do życzenia. Szczególnie w letnich miesiącach było dużo takich dni, które niepokryły kosztów, a te koszta wynoszą pokazałą sumę blisko 1.000 guld. dziennie. Zdaje się, że koniecznie będzie trzeba pomyśleć o teatrze letnim dla tych, co nie lubią w tej porze zamykać się w dusznej atmosferze murów.

Kompozytor nasz Dvorzak wykończył nową operę. Libretto do niej ułożyła pani Marya Czerwinkowa, córka d-ra Riegera.

Edward Jelinek.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych

Zaprzeczenie.—Nowe źródło elektryczności.—Przepowiednia temperatury.—Dżut i odkrycia p.p Chardonneta i Oidtmanna.—Nowe zastosowanie fotografii.—Barwniki win niemieckich.

Ubiegły rok pod względem odkryć i wynalazków naukowych nie przewyższył swych poprzedników z ostatniego dziesiętka lat, w których dokonano rzeczy, istotnie zdumiewających. Zapisywaliśmy wszystkie ważniejsze zdobycze naukowe w kronikach naszych; jedna z nich, która zdawała się być najdonioślejszą, która obiecywała przewrót radykalny w mechanice, a którą podaliśmy za wszystkimi gazetami, okazała się przedwczesną, a może, niestety, w zupełności fałszywą. Mówimy o okrzyczanym wynalazku Keeley'a, które

go opis zamieściliśmy w N. 49 „Bluszczu“. Przypominają sobie łaskawe czytelniczki, iż wynalazkiem tym była machina o niezmiernie prostej konstrukcji, która za pośrednictwem drgań głosowych nabywać miała kolosalnej siły tak, że w krótkim czasie przewiercała, na próbach dokonywanych w Anglii, w kwarcu dziurę i przewyższać miała owiele siłę pary. Otóż pokazało się, że wynalazca jej jest prostym oszustem, że użyty przy próbach kwarc był przypalany, i że kommissya wyznaczona do zbadania została w błąd wprowadzoną. Dziś sir Keeley rozpamiętywa swój postępek w więzieniu londyńskim, a może też... udoskonala tam swoje *chef d'oeuvre*.

Przechodzimy do porządku dziennego.

* * *

Nowe źródło wytwarzania się elektryczności zauważył p. T. Braun i przedstawił wynik swych spostrzeżeń akademii berlińskiej. Mianowicie elektryczność wywiązuje się dosyć obficie w drutach metalicznych jedynie przez mechaniczną zmianę w formie tychże drutów. Jeżeli prosty drut metaliczny, którego końce połączone z multiplikatorem, będziemy zginali, natenczas powstają na nim prądy elektryczne, co się objawia zбочeniem igły magnesowej. Poprzednio już znano to zjawisko i przypisywano je powstawaniu prądów termoelektrycznych, które wywiązują się skutkiem rozgrzewania się drutów, powstałego przy ich zginaniu. Braun jednakże dowiódł, że wpływ wywołującego się ciepła i inne poboczne wpływy są podrzędного znaczenia w powstawaniu elektryczności, że główną rolę odgrywa tu materiał, z jakiego druty wyrobione zostały. Żelazo np. wywiązuje bardzo nieznaczna ilość prądów elektrycznych, niklowe zaś druty nadają się ku temu celowi najlepiej, jednakże po rozżarzeniu tracą tę własność w zupełności. Jeżeli zrobić z podobnego drutu zwoje spiralne, skrecone i wlewo i wprawo, względem kierunku, w jakim drut był wyciągany przez drutownicę, to przy wyciąganiu podobnych zwojów wlewo i wprawo powstają prądy biegnące w przeciwnie strony. Łącząc te zwoje elektromotoryczne na wzór ogniw galwanicznych, można działanie ich w wysokim stopniu spotęgować. Autor sądzi, że następuje tu przemiana energii mechanicznej w elektryczną i przypuszcza, że wytwarzanie prądów elektrycznych, które podziśdzien połączone jest ze znacznymi kosztami, przyniosłoby w ten sposób w przemyśle znakomite korzyści.

* * *

Od najdawniejszych czasów robiono obserwacje w celu określenia temperatury powietrza, jaka ma nastąpić nazajutrz. Wszelkiego rodzaju przepowiednie co do stanu atmosfery najczęściej zawodzą; nawet znakomity meteorolog i astronom niemiecki Rudolf Falb bardzo często myli się w stawianych pod tym względem przepowiedniach. Uczony ten oznacza na rok kilkanaście lub nawet więcej dni, w których można się spodziewać kaktizmów; jeżeli więc nawet z pomiędzy nich jeden okaże się prawdziwym, to raczej przypisać należy to przypadkowi, niż rzeczywistemu obliczeniu na podstawach naukowych, które, jak dotąd przynajmniej, są... sekretem p. Falba. Nie idzie tutaj jednakże o pogodę, którą określić niemiernie trudno, na jej stan bowiem wpływa wielka ilość różnorodnych czynników natury, lecz po prostu o oznaczenie temperatury dnia następnego, co według słów p. Troska, zamieszczonych w jednym z ostatnich numerów „Naturwissenschaftliche Wochenschrift“ prawie dokładnie może być uskutechnione przy pomocy *wilgotnego termometru*. „Temperatura, którą wskazuje termometr wilgotny na godzinę przed zachodem słońca, wystawiony na świeże powietrze w cieniu, jest w 80 wypadkach na 100 takąsamą, jak temperatura, którą nazajutrz będzie wskazywał tenże sam termometr suchy, w cieniu o godzinie 8-jej przed południem. Różnica najwyższej wynosi 1 stopień C.“ Zasada ta stosuje się głównie do cieplejszej połowy roku, od Kwietnia do Września; w zimowym półroczu wahania w tym względzie na

termometrze bywają cokolwiek większe, mianowicie różnice wynoszą około 2-eh stopni.

Objaśnienia: na czem polega owe zjawisko, są zbyt szczegółowe, abyśmy je tu przytaczali. Powiemy tylko, że każdy może robić spostrzeżenia a to w następujący sposób:

Należy na godzinę przed zachodem słońca zwinąć kulke termometru w kawałek muslinu, tiulu lub cienkiego płótna, umoczonego w czystej wodzie, i dosyć silnie umocować go wkoło przy pomocy nitki; następnie tak przygotowany instrument wystawia się na świeże powietrze, a więc poprostu za oknem wychodzącym na zachód, i pozostawia się około kwadransu. Otrzymała w ten sposób temperatura jest średnią temperaturą dnia następnego. Obserwacje prowadzone w ten sposób przez przeciąg trzech miesięcy wykazują różnice nieprzekraczające nigdy $\frac{1}{2}$ stopnia C. Jeżeli termometr wilgotny wskazuje na następny dzień temperaturę + 20 lub wyższą, można według wszelkiego prawdopodobieństwa spodziewać się nazajutrz burzy.

Są to doświadczenia bardzo proste, niewymagające wielkiego zachodu, i dlatego byłoby wielce do życzenia, aby większa ilość osób zajęła się podobnymi obserwacjami.

* * *

Od dawnych czasów wykonywają w Indjach z *dżutu*, rośliny należącej do gatunku *corchorus*, rozmaite tkaniny podobne do tych, jakie u nas fabrykują z lnu i konopi; nazywają ją także konopiami z Kalkutty, gunijskiem włóknem lub trawą indyjską. Wszystkie części rośliny tej bywają tam zużytkowane: liście służą za paszę dla bydła i nawóz, z łądy wyrabiają grubsze przedmioty, jak np. kosze, ze ściernisk i zewnętrznych włókien przygotowują papier, a z nasion olej i makuchy. W przedziałniach zaś wyrabiają Hindusowie z włókien dżutowych dywany, obicia i t.p. Dziś dżut, jako artykuł handlowy dla Indyi, stał na równi z bawełną, ryżem i opium.

Dżut w wyrobie przedstawia tę wyższość nad lmem, że jest znacznie czystszy, a zatem wydziela mniej pyłu. Włókna bielone odczynnikami chemicznymi przedstawiały mniejszą trwałość; niedawno jednakże skutkiem zastosowania nadtlenu wodoru niedogodność tę zniesiono, tak, że trwałość włókien przy tym sposobie bielenia pozostaje najzupełniejszą.

W ostatnich czasach poczęto wyrabiać tak nazywany axamit dżutowy. Tkanę samą wyrabiają z bawełny, a włosie z dżutu, poczem poddają wyrób naciskowi zapomocą płyt lub walców z wyrzeźbionymi na nich deseniami.

Miejsca zaprasowane błyszczą jak atlas, niezaprasowane zaś pozostają matowemi, i mamy nowy rodzaj: *velours frappé*, aby zaś uniemożliwić podnoszenie się przyprasowanych włosów, zwilżają je przedtem słabym roztworem gummy arabskiej.

P. Chardonnet utrzymuje, że skutkiem jego wynalazku można będzie zarzucić dżut, jak również wszelkiego innego rodzaju włókna roślinne, w przedziałniach do przygotowywania tkanin, niewyłączając jedwabiu.

Udało mu się bowiem zastosować do wyrobu najróżnorodniejszych materyałów bawełnę strzelniczą, z której przygotowuje on włókno jedwabne sztuczne. Ponieważ do fabrykacji bawełny strzelniczej można użyć tak taniach przedmiotów, jak drzewo, słoma i t.p., jeżeli przeto sposoby zamieniania bawełny strzelniczej na jedwab' są tak tanie, jak to utrzymuje wynalazca, to hodowla jedwabników stanie się zupełnie zbyteczną; przyszłość ednakże dopiero wykaże: czy wynalazek p. Char-

donnet pod wszystkimi względami potrafi zastąpić tak dziś cenione wyroby jedwabne, co ze względu na ich drogocność byłoby wielce do życzenia.

Kiedy mowa o odzieniu, niepodobna nie wspomnieć, chociażby kilku wyrazami, o spostrzeżeniach d-ra Oidtmanna. Lekarz ten utrzymuje, że wpływ światła na białko roślinne i zwierzęce, a także na barwnik, jest bardzo doniosły; badał on również wpływ światła na białko zawarte we krwi i doszedł do wniosku, że w płynie tym odbywają się przemiany podobne do tych, jakie zachodzą sztucznie na płytach emulsyjnych, używanych przez fotografów. Części ciała obnażone, jakimi są twarz i ręce — utrzymuje wymieniony uczony — nie wystarczają, aby w organizmie zachodziły niezbędne przemiany pod wpływem promieni słonecznych; skutkiem tego domaga się on wprowadzenia codziennych t. z. kąpiei świetlnych, któreby zaspakajały potrzebę światła krwi i nerwów, i zastąpienia używanej dziś odzieży przez przezroczystą, przepuszczającą więcej światła. Im więcej światła — mówi Oidtmann — tem lepiej, za dużo go być nie może.

No, no, pomimo wielkich zalet jakie podobne odzienie bez wątpienia może przedstawiać dla zdrowia, wątpimy czy... ale, gdy dwie dotąd śmiertelne nieprzyjaciółki: higiena i moda, podadzą sobie ręce, kto wie?

* * *

Postępująca ciągle naprzód sztuka fotograficzna została obecnie zastosowaną do zdejmowania podobizn z okazów mikroskopijnych, które wprost z mikroskopu można zdejmować. Postęp ten dla nauki ma bardzo doniosłe znaczenie. Kto wie, jak trudno opisać obraz widziany pod mikroskopem, jakie trudności przedstawia przerysowanie go na papier, ten pojmie doniosłość i ułatwienie powstające z tego wynalazku.

Równie wielkie usługi oddaje dziś sztuka fotograficzna przy wykrywaniu dokumentów fałszowanych, czem znowu w sądownictwie można będzie szeroko się posługiwać. I tak: atrament każdego rodzaju wychodzi odmiennie na fotografii. Jesevichowi udało się dowieść fałszerstwa wexlu, w którym wyraz „Mai“ zmienionym został na „April“ a mianowicie z trzeciej kreski litery *M* zrobiono *p*, z *a* literę *r*, oprócz tego dopisano literę *l*. Przy fotografowaniu najwyraźniej wychodzą litery wytarte gummą lub też pokryte kleksami.

* * *

Professor szkoły politechnicznej w Porto p. Ferreiro da Silva, zajął się badaniem barwników wina, któremi niemieccy fabrykanci zabarwiają ten produkt, przyczem okazało się, iż są to trucziny szkodliwie działające na organizm człowieka.

Jedna z owych materyi barwnikowych, badana przez wymienionego chemika portugalskiego, przedstawia się w postaci brunatnego proszku, w którym dostrzedz można wielką ilość punktów szafranowego koloru. Rozpuszczony w wodzie, daje on prześliczny kolor wina czerwonego, wielce zbliżony do koloru, jaki posiadają najlepsze wina czerwone. Za dodaniem amoniaku roztwór ten przybiera kolor żółto-zielony.

Wytworzony jest z siarkofuxyny i metylenowego błękitu.

Amoniak jednakże nie jest dostatecznym odczynnikiem, albowiem i wino naturalne z nim wydaje powyższy kolor. Należało więc wyszukać innego odczynnika, któryby wykazywał obecność tego barwnika w winie. Udało się to p. da Silva najzupełniej. Rozpoznać można obecność bar-

wnika trującego, dodając do wina dwutlenku magnezu i dwutlenku ołowiu, lub też mieszaniny złożonej z octanu rtęci i magnezji.

Uczony ten wykrył również w winie niemieckiem drugi barwnik: proszek koloru popielatokawowego. W skład jego wchodzi czerwień roceliny, połączona prawdopodobnie z fuxyną i irydgiem. Dwutlenek magnezu z dwutlenkiem ołowiu, gdy wino zabarwione jest tym proszkiem w stosunku 278 miligrammów na jeden litr, nadają mu kolor różowy.

Pokazuje się z tego, że lepiej już pić niemieckie piwo, niż fuxynowane i indygowane ich wino.

J. S.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** nabyło w roku bieżącym 100 dzieł sztuki przeznaczonych do rozlosowania między 5.000 członków Towarzystwa. Zapłacono za nie 12.000 rs.

— **Pierwsza książka polska** w przekładzie na volapük wyszła w Lipsku u E. H. Mayera. Zawiera ona dwa utwory Sienkiewicza: „Komedia omyłek“ i „Czyja wina?"; przekładu dokonał Alfons Rylski. Tytuły brzmią: „Böf põlamas“ „Kim binkom od?“

— **Bal dla dzieci** grozi Warszawie. Zamierza go urządzać grono pań — zapewne przecież nie matek...

— **Konkurs Gazety Świątecznej** na powiastkę ludową, lub opis, czy inny jaki artykuł, nie dłuższy nad 1.000 wierszy druku (40—43 głosek na wiersz) został rozpisany. Na nagrody przeznaczone jest 150 rs., które podzielone będą na dwie części, według uznania komitetu sądującego. W razie wyróżnienia dwóch zupełnie dobrych artykułów, nagrodę otrzyma krótszy. Pierwszeństwo w razie podobnym otrzyma powiastka, „która pobudzi zdoła czytelników do szeregu śmiechu. Rękopisma opatrzone godłem należy nadsyłać wraz z kopertami, zawierającymi nazwisko autora, do redakcyi Gazety Świątecznej, przed dniem 1-go Kwietnia 1889 r.

— **Komitet dla sprowadzenia zwłok Mickiewicza** do Krakowa ogłosił odezwę z prośbą o peparcie i składki, gdyż koszta wymagają jeszcze znacznego nakładu. Kapituła krakowska daje na grób jedną z krypt pod nawą kościelną. Plan sarkofagu i urządzenie krypty przygotowuje prof. Sław Odrzywołski.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI:

— *P. Waleryi B.* Masz pani najzupełniejszą słuszność: wina tego, że młodość źle czyta, spada zawsze na głowę starszych. Gdyby matki nie czytywały same brzydkich książek, psujących romanów francuzkich, nie dostawałyby się one do rąk młodym ich córkom, a szczególnie nie budziłaby się w nich chęć czytania takiego. Jest ono złe: demoralizujące kobietę w każdym wieku, na każdym szczeblu wykształcenia umysłowego. Czystość ducha jest do siwego włosa cnotą kobiety, a wiadomość tego, co życie mieści w sobie, nie upoważnia do lubowania się w brzydostach, bo to jest — zepsucie!...

Sprostowanie. W Nr. 1. „Bluszczu“ na kolumnie 2-iej, w przytoczeniu z Mickiewicza *nie* przed *zacieka* jest niepotrzebnem.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

wartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek